

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 11300·— Mk. z przes. 12000·—Mk. Półrocznie 24000·— Mk. Rocznie 48000·— Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 1000 Marek.

Rok XX. Kraków, 3 marca 1923. Nr. 9.

Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny



1) Wynoszenie trumien z kaplicy szpitala garnizonowego, 2) Delegacye ze sztandarami w pochodzie na Rynku, 3) Marszałek Piłsudski dekoruje trumny krzyżem „Virtuti Militari“, 4) Oddziały kawaleryi wkraczające na Rynek, 5) Marszałek Piłsudski w oczekiwaniu na orszak pogrzebowy przed kościołem Maryackim, 6) Jen. Szeptycki na czele pochodu żałobnego 7) Lawety z trumnami w podkopie kolejowym na ul. Lubicz.

Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny.

Po ośmiu latach wrócili do Polski rycerze z pod Rokitny. W dniu 13. czerwca padli w bohaterskiej szarży na potrójne, umocnione okopy rosyjskie. Gdy przyszedł szalony rozkaz niepoczytalnego jenerała austryackiego, rotmistrz Zbigniew Dunin-Wąsowicz leżał ciężko chory, zerwał się jednak z pościeli, chwiejąc się na nogach dosiadł konia i sam poprowadził w ogień swój szwadron, mówiąc, że jeśli jego ludzi na śmierć wydają, on z nimi także być musi. Nie omyliło go przeczucie — znalazł śmierć razem z czternastu towarzyszami. Obok swego dowódcy zginęli: Por. Roman Włodek, por. Jerzy Topór-Kisielnicki, wachmistrz Adamski, wachmistrz Nowakowski i ułani: słuchacz chemii Karasiński, student Uniwersytetu Łuszczewski, gimnazyalista Majda, słuchacz Akademii Handlowej Zwaczko, technik z Liege Potok, inżynier Rakowski, masarz z Kielc Kubik, student Uniwersytetu Rawski, włościanin Szysz i słuchacz chemii Tworkowski. Pochowano ich na cmentarzu w Rarańczy i dopiero teraz sprowadzono ich zwłoki do Krakowa, który był macierzą szwadronu. Tu żegnano ułanów Wąsowicza, gdy wyruszali na pole walki, i tu obecnie złożono ich zwłoki na wieczny spoczynek, a cała Polska wzięła udział w tej żałobnej manifestacyi.

Ceremonie pogrzebowe rozpoczęły się w Krakowie w niedzielę o godz. 12-ej w południe wyprowadzeniem 15 trumien ze zwłokami poległych pod Rokitną z kaplicy szpitala garnizonowego.

Już przed godz. 12-tą koło gmachu szpitalnego zebrały się tłumy publiczności, które szczelnie wypełniły ulice przylegające i Rynek. Trumny wynieśli z kaplicy towarzysze broni poległych i złożyli je na lawetach armatnich. Trumny pokryto kwieciem i zielenią.



Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny: Szwadron ułanów rotm. Wąsowicza na froncie w r. 1915.

Z przed kaplicy rozwinął się olbrzymi kondukt, prowadzony przez jen. Szeptyckiego. Na czele jechał szwadron 2 pułku szwoleżerów i szwadron 8-go pułku szwoleżerów z orkiestrami, następnie szli weterani 1863 roku z wieńcem, korpus weteranów wojskowych, oddział skautów. Związek górali podhalańskich, Sokół, kolejarze, zastępy młodzieży szkolnej z orkiestrami, cechy, bractwa i delegacye cywilne. Dalej niesiono kilkadziesiąt wieńców, między innemi wieniec od rządu, od armii, wieniec od 8-ej dywizyi jazdy rumuńskiej z szarfami o barwach państwowych rumuńskich, od Stow. legionistów, od strzelców podhalańskich. Następnie szło liczne duchowieństwo świeckie i zakonne, poczem jechały lawety z trumnami.





Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny:

Uczestnicy szarży wynoszą z kaplicy szpitala garnizonowego trumnę ze zwłokami ś. p. rotm. Wąsowicza.

Przy grobie na cmentarzu Rakowickim.

Za trumnami postępowały rodziny poległych i liczne delegacye wojskowe, a na ich czele uczestnicy szarży pod Rokitną z płk. Maliszewskim, oraz towarzysze broni 2-go pułku jazdy legionów. Kondukt zamykała baterya armat, za którą szły tysiączne tłumy publiczności. Podczas pochodu krążyły nad konduktem aeroplany.

Gdy lawety z trumnami doszły do Rynku, koło linii A—B zatrzymały się przed trybuną, przy której stanęli minister Mikułowski-Pomorski, marszałek Piłsudski z orszakiem, wojewoda krakowski dr. Gałecki, jeneralicya i t. d. Tutaj książę biskup Sapieha w otoczeniu duchowieństwa dokonał pokropienia trumien, a marszałek Piłsudski złożył na trumnach krzyże „Virtuti Militari". Chóry wykonały pienia żałobne.

Następnie wszedł na trybunę prezes polskiej rady narodowej w Rumunii p. Czerkaski i wygłosił przemówienie, w którem, między innemi, powiedział:

„Miecz polski przeciął sztuczną granicę między Besarabią a Bukowiną. W poczuciu uznania, wdzieczności i podziwu dla poległych pod Rokitną bohaterów polskich, naród rumuński, jego rząd i armia rumuńska z nadzwyczajną okazałością sprawiły w Czerniowcach dnia 22. b. m. ostatnie uroczyste pożegnanie, widząc w przesławnej szarży rokitniańskiej nietylko bój krwawy o niepodległość Polski, ale także pierwszą obronę własnych ziem Mołdawii, podczas wojny światowej. Już pod Rokitną zrodziło się przymierze polsko-rumuńskie".



ogrzeb bohaterów z pod Rokitny: Odjazd szwadronu rotm. Wąsowicza z dworca krakowskiego na plac bóju (niereprodukowane dotychczas nigdzie zdjęcie „Nowości Illustrowanych" z r. 1914.).





Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny:

Ks. biskup Sapieha podczas dokonywania ceremonii pokropienia trumien na Rynku.

Minister oświaty Mikułowski-Pomorski, Marszałek Piłsudski, wojewoda Gałecki i b. premier Nowak podczas pochodu pogrzebowego na Rynku krakowskim.



Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny: Grupa górali w pochodzie.

Następnie przemawiał adwokat dr. Ostrowski w imieniu komitetu obywatelskiego. W końcu przemówienia mówca oddał w imieniu komitetu obywatelskiego, oddziału sokołów i Związku legionistów zwłoki i grób pod opiekę m. Krakowa.

Z kolei przemawiał w imieniu miasta wiceprezydent dr. Wielgus.

Po skończonych mowach i po odśpiewaniu przez chór „Echa" hymnu „Gaude Mater Polonia" ruszył kondukt w ul. Floryańską i przeszedł następnie przez otwarty Barbakan.

Przez dziedziniec starego Barbakanu przesuwały się kolejno grupy pochodu, zagrał tęczą barw las sztandarów cechowych, zamigotały hełmy i najeżone bagnety piechoty, a wreszcie po manifestacyjnem przejściu szeregów duchowieństwa i delegacyi z wieńcami, przetoczyły się armaty z trumnami bohaterów. Za ostatnią trumną szedł marszałek Piłsudski, przedstawiciele władz, urzędów, jeneralicya, korpus oficerski i tłumy publiczności.

Gdy kondukt pogrzebowy przesuwał się ulicą Lubicz obok „Strzelnicy", rozległy się honorowe salwy.

Koło godz. 3. popołudniu stanął orszak żałobny nad otwartą mogiłą na Nowym Cmentarzu. Po odśpiewaniu przez chór akademicki pieśni „Beati Mortui" i odprawieniu przez duchowieństwo modłów i egzekwii stanął nad grobem b. kapelan Legionów ks. Antosz i w imieniu b. legionowej braci żegnał poległych bohaterów. Następnie zabrał głos uczestnik szarży rokitniańskiej pułkownik Maleszewski i zaznaczył, że mogiła rokitniańska będzie symbolem mogiły nieznanego żołnierza, jakiej Polska dotychczas nie posiada. Wreszcie po odśpiewaniu pieśni „Salve Regina" złożono do grobu trumny ze zwłokami bohaterów na wieczny spoczynek. W tej chwili ustawione szpalerami przed cmentarzem oddziały wojskowe dały z karabinów salwę honorową, a z pobliskich koszar jen. Bema zawtórowała im artylerya salwą armatnią.

Po uroczystości pogrzebowej, zebrane wojska defilowały w ul. Rakowickiej przed jen. Szeptyckim i reprezentantami władz.



Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny: Marszałek Piłsudski i pułkownik armii rumuńskiej Ramtefirescu w grupie delegatów.

Na wspólnej mogile poległych z pod Rokitny stanie pomnik, którego realizacyą zajmie się ten sam Komitet obywatelski, który zajął się sprowadzeniem zwłok bohaterów do Krakowa i ich manifestacyjnem uczczeniem.





Pogrzeb bohaterów z pod Rokitny:

Honorowy szwadron 2. p. szwol. rokit. przed szpitalem garniz., skąd wyruszył pochód żałobny.

Szwadron 2. p. szwoleżerów rokitniańskich ze sztandarem w pochodzie.





TORVNIOWI
zdawien sławnemu na Ma:
zowszu miastu, kolebce
MIKOŁAJA
KOPERNIKA
w 450 rocznicę urodzin wielkiego
astronoma polskiego uroczyście
w dniu dzisiejszym przez Toruń,
Rzeczpospolitą i cały świat świeconą
składa ten
DYPLOM
ku czci i na pamiątkę
Towarzystwo Miłośników Astronomji.

Dzień Kopernika w Toruniu:

Pamiątkowa tablica, wmurowana na domu, w którym urodził się Kopernik.

Adres warszawskiego Tow. Miłośników astronomii, ofiarowany Toruniowi, jako rodzinnemu miastu Kopernika. **Fot. S. Wolski, Warszawa**



Dzień Kopernika w Toruniu: Uroczystości przed pomnikiem Kopernika na Rynku.

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

4)   **Powieść z francuskiego**

Nie wiedzą tego kobiety; nie pojmują, chociaż to im się może tysiąc razy powtórzy, że pomimo iż najszczerzej są kochane, najgodniejsze miłości, pomimo, że najsłuszniej mogą się uskarżać na swych mężów, zawsze jednak, gdy się oddają kochankowi, umysł jego ogarnia jakieś gorzkie uczucie, które nie jest pogardą, ale które na zewnątrz ujawnia się niekiedy sarkazmem. Człowiek, którego kobieta z płaczem po raz pierwszy przyciska do swego serca, człowiek ten, jedną swą myślą, której może nigdy nie wyjawi, rozpoczyna jej karę.

XXXIII.

Niech ludzie, nie lubiący zastanawiać się głębiej, przebaczą mi te uwagi. Nie są one na dobie, to prawda! Ale naturalną jest rzeczą, iż je robię. Źle zgadzają się one, niezawodnie, z tą ciekawością wyższego nastroju i tą nieumiarkowaną żądzą podziału swej istoty, o czem mówiłem na początku tego opowiadania, jako o szczególnym rysie mojej młodości. Nie chcę usprawiedliwiać wad mego charakteru, ani sprzeczności mego postępowania; chcę tylko nadmienić to, iż powyższe uwagi nigdy mi nie przychodziły na myśl przed bliższem poznaniem hrabiny.

Wynik ich mógłby niejednego zadziwić. Aby przed samym sobą usprawiedliwić początek i naturę naszego związku, postanowiłem podnieść umysł hrabiny, oderwać ją od błahostek, wśród których dotąd żyła.

Szczególna sprzeczność w sumieniu! Czułem, że robię źle, bałamucąc cudzą żonę, a obok tego, nie mogąc wymódz tego na sobie, by się jej wyrzec, instynktowo pragnąłem wynagrodzić hrabiemu szkodę moralną, jaką mu wyrządzałem.

Hrabina miała bardzo wiele inteligencyi, ciekawości i bystrości umysłu, ale wychowanie jej, wykształcenie... były opłakane. Żadnego trafnego zdania od niej nie słyszałem. Cały jej zasób moralny opierał się na uprzedzeniach i konwencyonalności towarzyskiej. Rządziła się tylko wrażeniami, nigdy zastanowieniem.

Zdziwiło mię niezmiernie, gdym się przekonał, że nigdy nic nie czyta. Zapytywałem o przyczynę tego i dowiedziałem się, że ani jednej książki nie ma w całym domu. Nietylko, że nie miała najlżejszego pojęcia o naukach, ale nawet ar[?]ydziela ducha ludzkiego, nawet te z nich, które, zdaje się, iż zostały napisane specyalnie dla kobiet, znała zaledwie z tytułów. Gazeta cudzoziemców, Życie paryskie, dwa dzienniki, które otrzymywała w Aix, stanowiły całą jej literaturę! Czasami rozmawiała ze mną o teatrze. Zapytywałem, w jakich bywa. Odpowiedziała, że bywa w teatrze Opery i na operze włoskiej, by zobaczyć towarzystwo, ale że dla swojej przyjemności woli chodzić do Variétes, Palais, Royal i Bouffes Parisiens.

A zatem ta kobieta, której gust stanowił prawa w pierwszem mieście całego świata, której stroje, klejnoty, liberya, umeblowanie, za wzór były przytaczane; ta kobieta, królowa piękności, uroku, dystynkcyi, nie szukała innego pokarmu dla swego umysłu nad płaskie koncepta „Pięknej Heleny“, lub tłuste dowcipy wodewilów.

XXXIV.

— Czyż mam czas czytać! — odpowiedziała na uwagi, jakie pozwoliłem sobie jej robić. A ponieważ nie śmiałem odzywać się dalej w tej materyi, gdyż rozbrajała mię wielką pewnością siebie, zaczęła znowu drwiącym tonem, źle ukrywającym wewnętrzne niezadowolenie:

— Kobiety naszych czasów jeden tylko mają obowiązek do spełnienia względem towarzystwa: Podobać się!... Gdyś mię pan spotkał po raz pierwszy, czyś się pan dowiadywał potem, ile mogę mieć wewnętrznej wartości? Nie! Wydałam się panu piękną, widziałeś mię tłumnie okrążoną, powiedziano panu, że byłam jedną z trzech czy czterech kobiet, nadających ton Paryżowi i to pana roznamiętniło. Zakochałeś się pan i kochasz mnie jeszcze dotąd. Gdybym umiała tyle co pan różnych rzeczy — czy kochałbyś mnie więcej? Pan jesteś profesorem — dobrze! Ale staraj się, byś nie został pedantem...

Nie odpowiedziałem nic, bo miała słuszność. Przyszło mi na myśl, że przecież zasad takich nie mogła hrabina zmienić, obcując z księciem Titiane; bo o czemże ten rozpustnik mógł rozmawiać ze swą kochanką?... Ale mąż! Jak ten mógł połączyć nierozerwalnym węzłem życie swoje z jej życiem, on, który był niejako odpowiedzialnym za kierunek jej umysłu i jej postępowania — jak się to stało, że on nie próbował tego, co ja, jej kochanek, chcałem zrobić?

Przekonałem się wtedy, żem się źle wziął do rzeczy i postanowiłem czekać, by mi się nadarzyła sposobność dojścia do celu, który sobie wytknąłem.

XXXV.

Okoliczność ta nadarzyła się całkiem niespodziewanie. Jeden uczony tylko co nie utonął, badając jezioro Bourget, w nadziei znalezienia tam śladów budowli tak zwanych „na palach“. W mieście wszyscy mówili o tym wypadku i co za tem idzie, o poszukiwaniach, które stały się jego powodem.

Rozumie się, iż wiadomość o tem doszła i do uszu hrabiny. A ponieważ nie mogła wcale pojąć, o co mianowicie uczonemu chodziło, a przytem nie miała nic do roboty, więc pewnego wieczora podczas przechadzki prosiła mnie, bym jej wytłómaczył, co to wszystko znaczy.

Nauczony już doświadczeniem, nie popełniłem na razie tego błędu, by natychmiast spełnić jej życzenie, ale chcąc zaostrzyć jej ciekawość, dałem odpowiedź ogólnikową, z której pewnie bardzo mało zrozumiała.

Wpadła w zasadzkę, którą tej zastawiłem.

Wtedy, by tem większe rozbudzić w niej zajęcie, powiedziałem, że wszystkie nauki mają pewien związek z sobą, że niepodobna dać najsłabsze wyobrażenie o jednej z nich, nie mówiąc o innych; że wszystko potrzebuje pewnego wstępu, że wstępy takie bywają zwykle bardzo nieznośne i że pewno skończy się na tem, że się znudzi.

Czy masz mię pan za tak ograniczoną? — odrzekła pani Chalis. — Teraz koniecznie już wymagam, byś mi najdokładniej wyjaśnił to, o czem tu wszyscy mówią.

Wtedy — być może, iż sytuacya stała się śmieszną, ale zawsze miała w sobie stronę zacną. Wtedy odwołałem się do całej inteligencyi, jaką otrzymałem w darze od natury i stanąwszy obok tej pięknej kobiety, młodej a tak płochej, której zawsze mówiono tylko o błahostkach, podniósłszy palec ku gwiazdom i przemawiając w sposób jak można najprzystępniejszy, począłem jej opowiadać najgłębsze tajniki wszechświata w jego ustroju. Zacząłem od opisania przypuszczalnej formacyi światów, przytoczyłem ich ilość, odległość od ziemi, wielkość, wskazałem prawa, według których poruszają się w przestrzeni. Treściwie opowiedziałem, jakiemi kolejami kula ziemska ze stanu gazowego przechodziła w stan płynny, potem otaczała się lekką skorupą, wreszcie pokryła się roślinami. Dalej wskazałem na pierwsze pojawy życia na kuli ziemskiej, opisałem podnoszenie się lądów, wstrząśnienia wulkaniczne, ziemię z wód wynurzającą się. Następnie przeszedłem do teoryi postępowego, a nieprzerwanego rozwijania się istot żywych, wskazując na powolne, ale ciągłe ich doskonalenie się.

Nie przeszła godzina, a już w szybkiej improwizacyi doszedłem do odkryć Galileusza, Kopernika, Keplera, Newtona, Laplace'a. Nie wiele więcej czasu zabrało wskazanie praw Geoffroy, Saint-Hilaire'a, Lamarka Lyella, Vogta, Darwina. Byłem tak szczęśliwy, iż słuchaczka moja pojmowała mię i rozciekawiała się. Niezmierny obraz, jaki roztaczałem przed jej oczyma, był dla niej tak nowym, iż słuchała mię, nie mówiąc ani słowa. Wszelkie pojęcia, jakie sobie sama o tych rzeczach wyrobiła, pojęcia, wkładane do ucha przez nauczycieli, których, będąc ma a dziewczyną, nie bardzo słuchała, naraz wywrócone zostały.

Dzikie początki rasy ludzkiej i jej sta ożytność zakończyły moją dysertacyę. Doszedłem do poszukiwań owego uczonego, który omal, że nie utonął w jeziorze Bourget.

Stanąłem na tem, udając, iż sądzę, że ciekawość hrabiny jest już należycie zaspokojoną.

— Cóż dalej? — zapytała, patrząc na mnie zdumiona, jakby słyszała przemawiający kamień.

Wyrosłem w jej wyobraźni na sto łokci. Natenczas, sam sobie dodając otuchy, gdyż serce moje przepełnione było tryumfem — skreśliłem jej zawsze pouczające, chociaż smutne dzieje ludzkości. Wystawiłem ją, występującą na scenę w pośród anarchii, gwałtu, tysiąca przesądów, tylko zmieniających swój przedmiot, nie mniej jednak wiecznych. Wskazałem jej ciągłe powstawanie jednych i tych samych przyczyn, pociągających za sobą zawsze jednakie skutki, państwa, tworzące się pod wpływem i wskutek ambicyi jednostek, ciągle rozszerzające swe granice i w końcu ginące jedne po drugich wskutek nadużycia zasady rozszerzania się. Indye, Egipt, Mezopotamia, Persya, Kartagina, Grecya, Rzym, występowały kolejno w mojem opowiadaniu z całym orszakiem swych wielkich ludzi — nie tych, którzy pozyskali swe imię czynami ucisków i wojen, ale tych, którzy silni duchem, pracowali nad nauką, filozofią, prawem, sztuką, nad uszlachetnieniem i wyzwoleniem ludzkości.

Ten sposób zapatrywania się na filozofię i dzieje, szczególnie podobał się hrabinie i zajął ją. Od samego początku mego opowiadania, gdym jej wskazał na ów regularny ruch światów w niezmierzonej przestrzeni, a które to światy dotąd w oczach kobiety tak płochej jak ona, były niczem więcej, jak złotymi punktami, rozsypanymi w nocy na lazurze nieba, na twarz jej wystąpił wyraz uniesienia. Nie przypuszczała, by świat był tak rozległy i tak cudnie urządzony. Ale gdym wykazał i geniusz i ograniczoność tłumu myślącego; gdy mówiąc o najważniejszych wypadkach historyi współczesnej, przedstawiłem jak duch rutyny i obskurantyzmu ciągle sprzeciwia się liberalizmowi — wtedy wzruszyła się.

— Nigdy tego nie przypuszczałam! zawołała.

Ale nie dość było dla mnie, że przed jej naiwnemi oczami tak się popisałem z moją uczonością. Zdaniem mojem, cały szereg faktów, które wyliczyłem, był niczem więcej, jak wstępem do wywodów praktyczniejszych. Trzeba było konkluzyi do tylu różnolitych wydarzeń, a konkluzya ta, według mego zdania, zawierała się w wytknięciu niewzruszonych zasad moralności, dążących do ustanowienia sobie stałej reguły postępowania.

Wziąłem panią Chalis za rękę i zaprowadziwszy ku mieścu, skąd widać było ogromną część przestworza nieba, rzekłem:

— Czy przypuszcza pani, że te światy same przez się powstały, czy też, że wola wszechmocna a rozumna przewodniczyła ich stworzeniu? Czy unosząc się nad ładem, rządzącym tymi miliardami światów, sądzi pani, że wola ta pełni się jeszcze? Czy nie sądzisz się pani w prawie utrzymywania, że zawsze pełnić się będzie?

Proszę, niech pani nie odpowiada oklepanymi ogólnikami. Jeżeli jest Bóg — a Bóg ten jest, gdyż w przeciwnym razie wypadałoby uznawać skutki, nie uznając przyczyny, co byłoby nonsensem — jeżeli Bóg jest, to istnieje on dla wszystkich ludzi, nie zważając na religię, do której należą. I to nie od dziewiętnastu stuleci, ale od wieków uwidacznia się on w swem dziele i tylko w niem. Zajrzyj pani w swoje własne sumienie; tam świadomość dobrego i złego żyje nie dlatego, że pani otrzymała jakie takie wykształcenie, ale dlatego jedynie, że pani należy do rodu ludzkiego. Pomimo woli, chociażby pani miała najszczerszą chęć przeciwną, zle, gdy faktem stanie przed jej oczami, wzbudza w pani wstręt instynktowny i tak w życiu, jak i w sztuce, która jest wyidealizowaniem życia, tylko dobro ją zajmuje.

Nie powiem pani nic nowego, nadmieniając, że we wszystkich czasach też same pojęcia o słuszności, uczciwości i dobru, istniały w ludzkości. Ludzie robili źle, to prawda; ale wtedy, gdy ich namiętności powodowały ku temu i uważ to pani — nigdy ludzie nie popełniali nic złego, by jednocześnie nie mieli przeświadczenia o tem. Zatem, pomimo nieświadomości, w jakiej znajdujemy się co do ostatecznych celów świata tego, istnieje prawidło, którem zawsze rządzić się możemy, jeżeli tylko mamy duszę dość wzniosłą, by nie poprzestawać w życiu czysto zwierzęcem i jeżeli chcemy wypełniać najszlachetniejsze posłannictwo nasze, nie otrzymania nagrody, ale dla uszlachetnienia samych siebie. Posłannictwo to byłoby mniej szlachetnem, gdyby zniewalało

nas ku niemu jakiekolwiek konieczne zobowiązanie, naprzykład: zadośćuczynienie naszym potrzebom. Co właściwie zaszczyt przynosi, to mianowicie ta pewność, że nic nas do tego nie zniewala. Jeżeli jest Bóg, to już z tego samego należy wnioskować, że zamiary jego są nieprzeniknione, gdyż Bóg może być tylko sprawiedliwym, a tymczasem wszędzie rozwielmożnia się niesprawiedliwość — gdyż Bóg może być tylko dobrym, a tak często tryumfuje złość; gdyż Bóg może być tylko rozumnym, a głupota rządzi nami. Ale chociaż nieprzeniknione są zamiary Boskie, zawsze można utrzymywać, że Bóg wspiera tego, kto z rozumem czyni sprawiedliwość i dobro. Im kto więcej czyni dobrego, tem wyżej się wznosi ponad zwierzęcość, tem bardziej przybliża się do boskości.

Takiem jest nasze przeznaczenie, takim powinien być nasz cel. Poza jego obrębem wszystko jest sprzeczne, ciemne, błędne.

Jeżeli zatem nie uprawiamy dobra, jak jakby należało, to jest, wskutek rzeczywistej skłonności ku dobru, więc uprawiajmy je dla godności ludzkiej w celu wywyższenia się nad nas samych i przybliżenia się do Stwórcy.

XXXVI.

Teraz znowu ja się uniosłem. Nie mogłem poruszać takich kwestyi na zimno, lub tylko logiką się rządząc. Tymczasem hrabina zastanawiała się nad tem, do czego to zmierza. Wkońcu zapytała mię o to.

Rola, jaką sobie z góry nakreśliłem, wydała mi się wówczas nadzwyczaj drażliwą.

— Pani weźmiesz mię pewno za jakiego kaznodzieję — odrzekłem, uśmiechając się. — Ludzie światowi tak mało przywykli do badania kwestyi podobnych! Rzadko się zdarza zwłaszcza, by mężczyzna rozwijał je przed oczyma kobiety, którą kocha! W naszych czasach zdaje się, iż wszyscy dali sobie słowo nie myśleć. Jedynych zadań godnych zastanowienia nie tylko nikt nie rozwiązuje, ale nawet odpycha je. Dla mnie jest to ciągłym przedmiotem zdumienia, że istoty inteligencyą obdarzone, mogą zajmować się czemkolwiek innem. Zagadka, nam stawiona, jest tak wielkiej wagi! Czemże, w porównaniu z nią są wszystkie te nędzne kwestye polityczne, socyalne, ekonomiczne, dzielące nas na nieprzyjazne sobie stronnictwa? Wzbogacić się, za jakąkolwiek cenę, rozerwać się, unikać wszelkiego zajęcia, nie mającego na celu drobnych interesów i przyjemności, osłaniać wady połyskiem hipokryzyi, aby przed samym sobą ukryć ich szpetność, oto są cele i prace ludzkości w drugiej połowie dziewiętnastego wieku! Otóż powiem pani, iż przemawiając do niej w ten sposób, nie jestem powodowany ani próżną chęcią okazania się wyższym nad ten nędzny wiek, ani też chcę narzucać pani myśli, które, być może, wydadzą się jej utajoną krytyką. Jedna rzecz mię skłania ku temu: szczęście pani!

— Mów pan wszystko, co masz na sercu — odpowiedziała pani Chalis. — W tej chwili zwłaszcza niczem mię pan urazić nie możesz.

— A więc — rzekłem, z uczuciem spoglądając na nią — czyś pani kiedy zastanawiała się nad tem, iż przez swe urodzenie, położenie w świecie, piękność, majątek, masz pani w ręku siłę potężną? Czy sumienie nie powiedziało pani, że dotąd, wskutek szczególnego wychowania, jakie dziś dają kobietom i w braku kierunku, czemu nie jest pani winną, nigdy nie umiała pani posłużyć się tą siłą?

— O tak! powtarzałam to sobie i — często! Ale cóż mogłam na to poradzić?

— Czy sądzi pani, że życie takie jest szczęśliwe? Życie, jakie wiodą kobiety, na jej stanowisku będące, a które, jeżeli nie będą się miały na ostrożności, odda je na pogardę publiczną? Powiedzą one i oprą się na przykładach niezbitych, iż można być uczciwą kobietą, a jednak lubić zabawy. A ja im odpowiem, że z zabawami rzecz się ma tak, jak i z gustami; jedni wynoszą z nich szacunek, drudzy uczucie wręcz przeciwne. Kto żyje na pewien sposób, ten upoważnia do wszelakich przypuszczeń. Ogół, nie obowiązany wiedzieć, co się dzieje wewnątrz, może opierać swój sąd na pozorach.

— Pozwól mi pani wejść w niektóre szczegóły, bym lepiej został zrozumianym. Gdy jaka kobieta ukazuje się oczom ogółu ubrana jako kurtyzanka, ogół sądzi, iż ma prawo utrzymywać, że taka kobieta ma i obyczaje kurtyzanki. Gdy spotyka drugą kobietę na balu w Mabille, natychmiast przypuszcza, iż poszła tam jedynie dla praktykowania lichego rzemiosła. Jeżeli trzecią zobaczy w Alkazarze, rozkoszującą się śpiewkami kawiarnianemi, nie może przecież wystawiać sobie, że taka kobieta ma duszę czystą, a tem bardziej zamiłowanie w tem, co podnosi ducha. Inna pozwala mówić w swej obecności rzeczy nieprzyzwoite, jakże pani chce, by była szanowaną? Wiem, że dzięki ułatwionym komunikacyom, wielkiej podzielności majątków, pewnego rodzaju popędowi, z góry nadanemu i pociągowi, jaki zawsze wywierał charakter francuski, Paryż, od kilkunastu lat przestał być stolicą wielkiego państwa, aby się stać niezmiernym karawanserajem dla użytku ludzi nudzących się. Wiem także, że niepodobieństwem jest, by rozmaite obyczaje tych ludzi, zlatujących się jak ptactwo z czterech stron świata, by się rozerwać, nie oddziałały i na nas. Dziś, smutno to wyznać, niema już obyczajów francuskich. Nasza wrodzona wykwintność, nasz dowcip, sztuka nadawania wartości najdrobniejszym rzeczom, którą w wysokim stopniu posiadamy, wszystko to u nas pomieszało się, połączyło z jakąś szorstkością obejścia, drwiącym sceptycyzmem i wszelkiemi drobnemi i głupiemi wadami, które od czasu, jak Francya istnieje, ukazywały się zrzadka tylko. Ale jest to właśnie jednym powodem więcej do tego, byśmy oddziaływali wszystkiemi siłami przeciw temu zabrudzaniu nas obczyzną.

Otóż, powracając do tego punktu, z którego wyszedłem, utrzymuję, iż nie dość być dobrą i uczciwą kobietą, ale trzeba i wydawać się nią, jeżeli kto chce być w poszanowaniu.

— O! jakże słusznie pan mówisz! — zawołała pani Chalis — Wszystko to, co teraz słyszę od niego, sama sobie powtarzałam sto razy!

— A więc — zacząłem znowu, nie mało zdziwiony mojem powodzeniem, dlaczegóż pani nic nie zmienia w swym trybie życia?

Czekała na to pytanie, gdyż w tejże chwili na nie odpowiedziała:

— Dlatego, żem nigdy nie czuła w sobie dostatecznej siły, aby się oprzeć prądowi, unoszącemu mnie. W świecie nie to się robi, co się uznaje za właściwe i dobre, ale to, co robią inni. Nie wiem, kto nadaje popęd i skąd idzie przykład. Z obyczajami dzieje się to samo, co z modami; nikt znany nie stwarza ich, wszyscy naśladują. Gdybym żyła w końcu tego ośmnastego wieku, który pan niedawno tak wychwalałeś, być może, iż naśladując przykład tylu innych kobiet i ja byłabym osobą poważną, wykształconą, namiętnie szukającą prawdy, że brzydziłabym się hypokryzyą i rzeczami błahemi, że miałabym sobie za zaszczyt zgromadzanie w moim salonie znakomitości tego wielkiego wieku. Na nieszczęście żyję w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. Nie mam potrzeby mówić panu, co wiek ten lubi. Jemu to miej pan za złe to, co mu się w mojem postępowaniu nie podoba.

— Bóg mi świadkiem — odpowiedziałem natychmiast — iż jedynie przywiązanie do pani podyktowało mi wyrazy, które wywołały jej niezadowolenie. Gdybym mniej kochał panią, myślałbym tylko o tem, by żyć z nią w zgodzie i zadowolony własnem istnieniem, dzięki pani, nie narażałbym go na wstrząśnienia dlatego, by być jej użytecznym.

— Jesteś pan człowiek bardzo uczciwy! — zawołała natenczas hrabina namiętnie, ściskając mi rękę. — Każdy inny na jego miejscu myślałby tylko o tem, jakby moim kosztem zadowolnić swoją miłość własną. Pan zaś myśli tylko o tem, by mi odwdzięczyć uczucie, jakie mam dla niego. I robisz to pan w sposób najdelikatniejszy i najtkliwszy. Chociaż niepodobieństwem jest, dla kobiety zwłaszcza, zerwać z pewnemi przyzwyczajeniami i cofać się z niektórych pochyłości, oddaję panu kierunek mego życia. Rób pan z niem, co mu się podoba!

XXXVII.

O! W tej uroczystej chwili była szczerą! przysięgam! Żadne względy nie powodowały jej do tego, by mnie zwodzić. Jak owi potępieńcy, o których mówi Dante, że strąceni z nieba, wśród płomieni zachowali pamięć o rozkoszach niebieskich, tak i hrabina żałowała tego dobra, o którem kiedyś marzyła.

I zachęcona przezemnie, usiłującego podnieść ją we własnych jej oczach, robiła co tylko mogła, by wzbudzić w sobie ufność w samą siebie, by powrócić na drogę, z której zeszła w życiu.

XXXVIII.

Dowód tego, co mówię, upatruję w zamiarach które bezzwłocznie zaszły w jej życiu.

Do tej pory, idąc za przykładem większej części kobiet, znajdujących się na tem samem co one stanowisku, zaledwie hrabina widywała swe dzieci. Biedne te istoty, wątłe i nerwowe, żyły tylko w towarzystwie swych bon, z których jedna była Angielka, druga Niemka. Obie pozwalały im robić co chcą. Pierwotne ich wychowanie zatem było prawie żadne. Ale zato umiano im już wpoić kilka fałszywych zasad.

A przytem opychano je łakociami i cukierkami, przez cały dzień, a gdy codziennie rano i wieczorem, przedstawiano je matce na kilka minut, drżały przed nią, z obawy, by je nie łajano.

Rozpocząłem dzieło, któremu postanowiłem poświęcić całe moje życie, kreśląc pani Chalis obowiązki matki. Dałem jej do zrozumienia, iż pierwszą jej powinnością wobec społeczeństwa, jak i względem samej siebie, było nigdy nie zaniedbywać swych dzieci.

Powiedziałem, że właśnie sama powinna zająć się najdrobniejszymi szczegółami ich wychowania, dopóki nie dojdą do lat, w których przejdą pod dozór mężczyzn.

Następnie przedsięwziąłem powstrzymać ją od marnotrawstwa, od wydatków bezpotrzebnych i to na błahostki, nie przynoszące jej ani zaszczytu, ani przyjemności, a wydawała sumy, któreby wystarczały na rok na utrzymanie kilkunastu rodzin.

Pracowałem nad tem, aby, o ile można, trzymała się środka intellektualnego, zarówno odległego rygoryzmu, jak i od zwykłej swobody.

Mówiłem jej, iż wielki majątek jest niezaprzeczenie krzyczącą niesprawiedliwością i że o tyle tylko może być usprawiedliwiony wobec umysłów liberalnych, o ile będzie roztropnie używany i kiedy znaczna część jego pójdzie na rzecz potrzebujących. Mówiłem, że rozkosz świadczenia jest największą, jakiej może zaznać umysł ludzki. Wykryłem tajemnicę tej rozkoszy hrabinie. Dziękowała mi szczerze, doznawszy jej. Odtąd codziennie, spędziwszy godzinę na słuchaniu, jak dzieci jej czytają, jeździła z niemi w okolice miasta Aix, zwiedzała najlichsze lepianki, przezwyciężała swój wstręt, pozostając przez kilka chwil przy cuchnących łóżkach, gdzie ubóstwo walczyło z chorobą. Powracała z próżną portmonetką i duszą znękaną.

— No i cóż? — mówiłem jej wtedy — czyż miałoby już pani sił zabraknąć? Zobaczysz pani z czasem niejedną taką nędzę! Nie radzę pani uskarżać się, gdy pełnisz rolę Opatrzności. Czy zna pani piękniejszą?

Tak na wszelkie sposoby zachęcałem ją. I była mi wdzięczną za to. Im więcej zastanawiałem się nad tym krótkim okresem czasu, kiedy z dniem każdym przeistaczała się, tembardziej czuję się w prawie utrzymywania, iż pomimo swej przeszłości, gdyby ciągle była ze mną, zdala od świata, uczyniłbym z niej najlepszą i najrozsądniejszą z kobiet. Nie było dnia, bym nie odkrył w niej jakiego pięknego przymiotu.

Sama piękność jej przetwarzała się, szlachetniała, stawała się czystszą. Jednocześnie wystrzegała się tego, co zawsze znajdowałem obrażającem w jej wyniosłości.

Czytanie, do którego ją namówiłem, przyczyniało się tyleż, co i moje rady dla oderwania jej umysłu od błahostek, w których dotąd najwięcej sobie podobała. Starając się o jej oświecenie, zarazem rozrywałem ją. Byłem, jednem słowem i pod każdym względem tem, czem zawsze powinien być opiekun wobec kobiety młodej i pięknej, którą kocha i którego ona sama sobie wybrała.

XXXIX.

Na nieszczęście, wypadło nam rozstać się, w chwili, gdym już stawał u celu mej pracy.

Nadeszła pora, w której corocznie przepędzałem miesiąc u ojca mego w Nantes.

Hrabina zaś, oczekiwaną była w Biarritz. Nie wiem już, jakie przytoczyła mi powody, by mię przekonać, że obecność jej jest tam niezbędną, że znajdzie swe przyjaciółki w tem modnem miejscu, które wówczas znałem bardzo mało, dość, że nie sprzeciwiałem się temu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

GABRYELA ZAPOLSKA.

Krzyż Pański.

Skąd się to wzięło takie biedne, krzywe, mizerne w tej rodzinie rosłej, rumianej, dobrze odżywionej, prosto sformowanej?

Dość, że było.

Miało to siedm lat, nie więcej, a wyglądało na cztery. Uszy były duże, przeźroczyste, przypięte po obu stronach głowy trochę spiczastej, głowy garbatych ludzi.

Te uszy rzucały się przedewszystkiem w oczy patrzącemu, a potem jeszcze jakiś dziwny wyraz całej twarzyczki, wyraz nieśmiały tych, co przechodzą powoli, cicho pod murami, tych, co chcieliby, ażeby ich nie widziano. Nasuwają na siebie anielskie skrzydła, które za nimi tworzą białe tło. Są jakby na tych skrzydłach innym ludziom podani. Ale ci inni ludzie tego tła nie widzą. Oni tylko dostrzegają duże uszy, pokręcone ciało i mówią!

— Tylko zdrowi są estetyczni!

I wystawiają butnie naprzód swoje klatki piersiowe, niepomni, że często w maleńkiej, ubożuchnej klatce, na pręciku, w kącie przypadł ptak o cudowym głosie, podnoszącym hymnem swym ludzkie dusze w wyżyny, gdzie ból jest rozkoszą, smutek — urokiem chwil samotnych, a radość olśnieniem niespodzianem, hałaśliwem i zło wróżącem.

— Tylko zdrowi są estetyczni!

. . . .

Mietek był chory, zawsze chory. Gdy matka wyczuła krzywiznę kręgosłupa przez koszulkę „źle rosnącego chłopca“, podniósł się w całym domu lament i wrzask.

— On będzie garbaty!

Ojciec ze zmartwienia przez kilka dni nie chodził „do handelku“ na śniadanie. Matka nie zastanawiała się nad kolorem wiosennego en tout cas. Garbaty! Ich syn! Tak hygienicznie chowany! Najlepszy dowód: inne dzieci, Cacka! Prościuchne lalki w garniturkach marynarskich, jak ametysty w złotej oprawie lśniących loków, albo dziewczynki białe boules de neige, całe śnieżne, różowe, z nóżkami-poematami w białych kamaszkach. Aż wiało od nich zdrowiem.

Tylko — ten... Mietek.

A potem — nowy wydatek. Trzeba rozpocząć leczenie. Instytuty ortopedyczne i tam dalej. Prostują, wyłamują, wyciągają. Może co poradzą. I codziennie, najpród z matką lub ojcem, potem mniej uroczyście z guwernantką albo sługą idzie szaro ubrany Mietek „do pana doktora“. Idzie cicho, milcząc, bez opozycyi. W sali pełnej dziwnych przyrządów, stołów i pasów, leżą małe dzieci, takie, jak on, blade i nędzne. Leżą, stoją, wiszą na pasach, rzemieniach, deskach, w smutnej atmosferze i żółtawem świetle sali o ścianach szarych, lśniących lakierem, nieprzytulnych.

Bez protestu na zaciśniętych ustach, same będące tragicznym protestem przeciw tej Grze wielkiej, rozpacznej, która się życiem nazywa.

Mietek zajmuje pomiędzy niemi milcząco swoje miejsce. Czuje, że to jest jego świat — jego ludzie. To coś, jakby odcięte od świata, nie złączone z nim niczem na chwilę. Zawieszają go na pasach. Zdaje mu się, że podniósł go ktoś na moment jeden ponad ziemię. Chwyta go zawsze strach i rozkoszne uświadomienie, że będzie tak sam, ponad wszystkich choćby sekundę jedną. I gdy go zdejmą i postawią na ziemię, olśniony, ze wzrokiem jakby zamąconym, ma w swej twarzyczce wyraz tych, którzy spojrzeli na świat z oddali, z drugiej strony grobu i odsłoniły się przed nimi zasłony dziwne, na których były pomalowane tylko sceny z życia — podczas gdy prawdziwa treść była za temi zasłonami ukryta.

. . . .

Rodzice Mietka mają nawet szczery zamiar wysłać go nad morze.

— To mu dobrze stanowczo zrobi! — mówi ojciec. Matka mówi, tak — i w myśli jej przesuwają się plaże Ostendy, Lida — wszystkich tych nadzwyczajności, o których czytała i słyszała tyle.

— Tak... trzeba — mówi z przekonaniem. I myśli.

— Czy ranny plażowy kostyum będzie lepszy z gładkiej flaneli, czy w paski.

— Ale i my pojedziemy! — wołają inne dzieci.

— Nie. Tylko Mietek.

— Dlaczego? Przecież my jesteśmy grzeczne. My się uczymy, a on próżniak, nic nie robi.

— Cicho! — mówi surowo ojciec, porając się z cygarniczką.

Rodzeństwo z zawiścią spogląda na Mietka, który się kurczy i radby wbił się w ziemię, aby już więcej nie było mowy o morzu, o tym wyjeździe, o niczem, co jego dotyczy.

Ale mimowoli, gdy się spać położy, widzi wielką przestrzeń błękitno-zielono-srebrnozłotą, a po niej mkną białe żagle — a nad nią się snują jakieś śnieżne ptaki.

A on błądzi po piasku i fale cichutko mu u nóg się kładą.

Nie boi się morza, nie boi się tej masy wody. Przeciwnie, zdaje mu się, że ktoś śpiewa kołysankę, a jakieś miękkie ramiona tulą go ku sobie.

. . . .

Lecz rodzice Mietka oswajają się powoli z tą myślą, że jeden z ich synów będzie „do niczego“. Przestali go nawet posyłać do instytutu ortopedycznego — a tylko Mietek sypia teraz z jakimś dziwacznym przyrządem, przyczepionym u nóg. Dziecko podaje samo wychudłe nóżki pokornie, jakby przepraszając za to, że musi trudzić kogoś, aby je torturował. I potem leży spokojnie, cicho, zaciskając oczy, udając, że śpi. Dokoła niego wre hałas gniazda, układającego się do snu, on już pokończył swoje dzienne rachunki i teraz ma prawo do siebie samego. Chce myśleć o morzu, ale oto ściska mu się serduszko.

Rodzice nie mówią już o morzu.

Przestali.

A nawet jest mowa, że ojciec jedzie do Karlsbadu, a mama z najstarszą siostrzyczką do Krynicy.

O nim już nikt nie mówi.

Fale morskie będą lśnić srebrem, ale on już ich nie zobaczy. I ktoś będzie w oddali śpiewał kołysankę, ale nie dla niego i ramiona te przytulne... i to wszystko...

Dzieci się kłócą pomiędzy sobą. Zmówiły pacierze, a teraz się kłócą.

— Ja silniejszy...

— O! Pytlasiński.

— Cyganiewicz.

Jak dwa koguty rozżarte, śmieszne, stoją naprzeciw siebie w swych długich, nocnych koszulkach, podnieceni brutalnością wstrętną cyrkowych zapasów, z których wrócili. Radziby rzucić się na siebie, bić, poniewierać po ziemi, aby wykazać tylko swą siłę.

A Mietek myśli, cierpiąc tortury w swych przykutych do ciężarów nóżkach:

— A morze... morze... takie srebrne... takie cudne... i żagle białe... i tak tam musi być cudownie... tak cicho.

. . . .

Rodzice poszli do teatru. Wzięli ze sobą dzieci, bo grają „Jasia i Małgosię“. Miejsca w loży było właśnie tyle, ile na rodziców i dzieci, bez Mietka.

— On chory, on w domu zostanie.

— Dobrze mamusiu!

Wylecieli z szumem, hałasem, wrzawą. Dziewczynki postrojone biało, chłopczyki w nowych garniturkach. Nie pożegnano się nawet z Mietkiem, który jednak grzecznie odprowadził ich do przedpokoju. Guwernantka wzięła go za rękę, manifestując tem, że się nim zaopiekuje. Mama w ładnym, gazowym kapturku odwróciła się z uśmiechem ode drzwi.

— A niech Mietek będzie grzeczny.

— Już ja go przypilnuję — odpowiedziała panna Julia.

I gdy wszyscy wyszli, zamknęła drzwi, włożyła kapelusz i poszła do przyjaciółki, która obok mieszkała.

— Niech służące uważają na dziecko! — powiedziała surowo do sług, robiących piekło w kuchni ze stróżem o klucz od strychu, „który się gdzieś podział“.

W pokojach Mietek błądził koło szyb, z których padały długie smugi świateł z ulicy i myślał:

— Co ja mógłbym złego zrobić? Dlaczego mama to powiedziała? Gdybym chciał być niegrzeczny, to nie wiem, jak się to robi...

. . . .

Powoli — ta samotność, ta ciemnica salonu, jadalni, gabinetu ojca, w której ginęły tajemniczo meble, zaczęła go przejmować jakiemś dziwnem wzruszeniem.

— W lesie jestem! — myślał — w lesie! Zgubiłem się... dokoła mnie drzewa... krzaki...

Usiadł na fotelu.

— Tak dobrze, tak cicho!

Jakaś radość spłynęła mu do duszy. Zrozumiał, iż życie ma dla niego cudowne chwile.

— Gdy dorosnę, będę zawsze tak sam! Będę taki szczęśliwy!.. Światło latarni zabłysło ukosem i oświetliło otwartą paszczę fortepianu, na którym najstarsza dziewczynka odprawiała codziennie łamańce.

— I któż mi będzie ładnie grał? — marzył dalej chłopczyk — ale grał cichutko, zdaleka, nie tak, jak gra mama albo Tyńcia..

Wstał i jak lunatyk postąpił do fortepianu.

— O tak mi będzie grał...

Położył na klawiszach rączki. Nie znał ani jednej nuty. Więc uderzył na prawo i lewo, na oślep. Była to straszna kakofonja. Ale Mietkowi się zdawało, że jest to... melodya. Bo grała mu pieśń dziecięcych, prymitywnych ułud. Grał mu las, a potem cała przestrzeń jasna morza, poznaczona srebrem i białą żagli. Grały mu fale w tych klekotach szarpanych, tłuczonych klawiszy. Była to w niebowzięta chwila złudzenia. A on sam stał nad brzegiem, jakiś silny. lecz nie tą siłą cyrkowych atletów, produkujących muskuły i klaszczących sobie po karku, lecz siłą, której nie rozumiał, a tylko odczuwał. Była ona Mocą tych, którzy potrafią przez to samo, iż istnieją, przez dobroć w sobie zawartą, powstrzymywać innych od czynienia źle. Właściwie oni są bohaterami życia, choć niklem widmem suną się po ziemi...

W Mietku wzrasta owa Moc. Oczy jego rozszerzyły się, pierś nieforemna podała naprzód. Fale mu się garną do stóp, fale-ludzie, gnane rozpędem losu ziemi, zbuntowane, gryzące brzeg, gryzące serca i istnienia. Lecz gdy go wyczują, gdy do stóp mu przypadną, cofają się korne i tylko jęczą zcicha...

Ręce Mietka dławią klawisze takim jękiem, fortepian wyje, struny drżą.

— Tak płaczą... tak płaczą!... — powtarza Mietek.

I nie wie, czy to fale, czy to jakieś tłumy ludzi, garnących się dokoła niego.

— Chcieli być źli... nie dałem... grozili, chcieli zabijać... niszczyć... teraz się skarżą... Lepiej, niech płaczą...

Te fale, czy ci ludzie.

. . . .

Nagle drzwi szarpnięte. Smuga światła. Brutalny głos sługi:

— Co Mietek wyprawia? Ci państwo z góry przysłali, co się tu dzieje!... Mietek psuje fortepian... wali kułakami ze złości, że go do teatru nie wzięli... Szkaradny Mietek... — Zła, czerwona, opuszcza ciężko drzewo fortepianu na ręce Mietka. Jemu zdaje się, że go ktoś strącił z wielkiej wyżyny w szare, bezbrzeże, beznadziejne i smutne.

Więc on walił kułakami w fortepian?

Psuł klawisze?

A jemu się zdawało!

Idzie cicho do dziecinnego pokoju. Coś jakby go dławiło. Coś jakby zostawił za sobą, coś bardzo miłego.

— Nogi niech Mietek wyciągnie... założę Mietkowi frykasy — mówi drwiąco gruba, brzydka dziewczyna — a że Mietek rozwalał fortepian, to będzie dłużej w nich leżał!...

. . . .

Na drugi dzień „państwo z góry“ przysłali do rodziców Mietka długi list, w którym dowodzili, iż działy się straszne rzeczy, całe piekło, że dzieci waliły pięściami, a potem chyba kijami w fortepian, że wszystko się trzęsło... Zakończony był ten list słodko kwaśną nauczką co do chowania dzieci, czuwania troskliwie nad dziecinarnią i ostrzeżeniem, że jeśli się to raz jeszcze powtórzy, uciekną się ci państwo do „innych środków“, aby sobie spokój zapewnić.

Rodzice Mietka czuwali bardzo pilnie nad tem, aby mieć nieposzlakowaną opinię w kamienicy, opinię ludzi cichych, doskonale wychowanych i ułożonych.

Rozpacz ich była wielka.

Załamali ręce i patrzyli na siebie.

Przez uchylone drzwi widział ich Mietek i tchu nie miał ze strachu i smutku.

Wreszcie przemówiła matka, cała różowa w fałdach szlafroczka koloru brzoskwini:

— Będziemy mieli z tem dzieckiem! Będziemy mieli!... Och! jak nas Pan Bóg pokarał!...

A ojciec, goląc się starannie, odrzucił:

— Co chcesz, moja droga! Wiesz!... Garbaci są złośliwi, to dlatego...

A matka z westchnieniem dodaje i rezygnacyą:

— Krzyż Pański...

I pudruje się welutiną...

Kronika tygodniowa.

Czterysta pięćdziesiątą rocznicę urodzin Kopernika obchodził Kraków, jak się można było spodziewać, z całą okazałością i pietyzmem dla pamięci wielkiego uczonego, który sławę polskiego imienia rozniósł po całym świecie. Według nowej, powojennej metody krakowskiej uroczystość odbyła się poważnie i cicho, t. j. tak, że nikt o niej nic nie wiedział, podobnie jak o sześćdziesiątej rocznicy Powstania Styczniowego, święconej w naszym podwawelskim grodzie zupełnie w ten sam sposób.

Krakowianom wystarczyło narazie, że uroczystości Kopernikowskie odbyły się w Toruniu, Poznaniu i Warszawie. W dniu 18 lutego, t. j. w niedzielę, kiedy oczy całej Polski skierowane były na Toruń, obywatele podwawelskiego grodu kłopotali się więcej o to, czy flaki przypadkiem znowu nie podrożały, młodsze pokolenie zajmowała myśl, kto też zdobył mistrzowstwo Tatr w odbywających się równocześnie w Zakopanem międzynarodowych zawodach narciarskich. Przy tej sposobności mieli się tam zjechać także i nasi najwięksi politycy, aby na „zimno" zastanowić się nad obecną sytuacyą, zaniechali jednak zamiaru, mając bowiem do wyboru Toruń lub Zakopane, woleli zostać w Warszawie.

W tydzień dopiero po rocznicy kopernikowskiej pojawiła się w naszych pismach codziennych skromna notatka, że uczony Kraków o Koperniku nie zapomniał i urządzi obchód, ale dopiero w maju, z okazyi zjazdu astronomów, jaki się ma odbyć. Co się zatem odwlecze, nie uciecze, ale tymczasem Warszawa uprzedziła Kraków, a senat tamtejszego Uniwersytetu zamianował Kopernika honorowym doktorem. Uroczyste wręczenie dyplomu doktorskiego naznaczono na dzień 25 lutego b. r., gdy równocześnie w tym samym dniu miał się odbyć w Krakowie pogrzeb bohaterów z pod Rokitny, na który zapowiedziało swe przybycie wiele wybitnych osobistości z Warszawy. Wobec tego warszawska druga część obchodu kopernikowskiego nie mogła wypaść tak świetnie, jak powinnaby, nie wziął w niej oczywiście udziału także i sam honorowy doktor, a to z powodu, że na kilkaset lat przedtem przeniósł się do wieczności.

Z okazyi uczczenia Kopernika w czterechsetną pięćdziesiątą rocznicę jego urodzin doczekaliśmy się przynajmniej ostatecznego rozstrzygnięcia długotrwałego sporu o jego pochodzenie. Polacy utrzymywali, że Kopernik był Polakiem i za takiego sam się uznawał, Niemcy dowodzili, że należał do rasy germańskiej, a rodzina jego przypadkiem się tylko w Polsce znalazła. Na ten temat zadrukowano wiele papieru, zdania świata w tej kwestyi były podzielone, ostateczne rostrzygnięcie zapadło obecnie, gdy Czesi zgłosili swoje pretensye do Kopernika, podając wszem wobec, iż rodzina Kopernika zawędrowała do Polski z Czech, że wielki astronom jest zatem Czechem, a nie Niemcem, tem mniej zaś Polakiem. Na razie nie podają Czesi na poparcie swego twierdzenia ważniejszych dowodów, jeśli jednak tak mówią i piszą, to musi być prawda, bo wiadomo przecież, że jeszcze żaden Czech nikogo nigdy nie okłamał, ani nie okradł.

Uczeni w większym stylu zajmują się zatem przygotowaniami do majowego obchodu Kopernikowskiego w Krakowie, choć nasze „nieśmiertelniki z ulicy Sławkowskiej" zostały chwilowo wytrącone z równowagi pożarem w gmachu Akademii Umiejętności, który na szczęście nie wiele wyrządził szkody, ale stał się groźnem *memento* na przyszłość, że zbiorom zagraża poważne niebezpieczeństwo, nie są one bowiem należycie ochronione od ognia i innych podobnych katastrof. Społeczeństwo polskie z ubolewaniem przyjęło do wiadomości, że nasza najwyższa instytucya naukowa trochę może za mało uwagi poświęca tak ważnej kwestyi, ale na jej wytłómaczenie należy zaznaczyć, że była ona i jest zawsze w bardzo opłakanych stosunkach finansowych, dotacye rządowe nie wystarczały nigdy na pokrycie najniezbędniejszych wydatków, liczenie zaś na ofiarność prywatną, jest, zwłaszcza w obecnych czasach, bardzo niepewne. Bo i któż, mając głowę nabitą interesami, chciałby łożyć fundusze na tak nieproduktywny cel, jakim jest nauka. Nic też dziwnego, że ludzi, jej się poświęcających, ogarnia coraz większe zniechęcenie, bo inaczej być nie może, gdy materyalnie od profesora Uniwersytetu lepiej sytuowanym jest pierwszy lepszy robotnik ręczny. To też dla uprzyjemnienia sobie życia wyskakują z okien na bruk profesorowie uniwersytetu, jak to miało niedawno miejsce we Wiedniu, niezawodnie pójdą w ślady i nasi, skoro, jak w ubiegłym tygodniu czytaliśmy lektor jednego z obcych języków na warszawskim Uniwersytecie otrzymał tytułem wynagrodzenia za miesiąc styczeń aż... dziewięćdziesiąt tysięcy marek polskich. Mimo to nie strejkują oni, los swój znoszą cierpliwie, czekając, rychło zajaśnieje im pomyślniejsza gwiazda, bo wychodzą widocznie z założenia, że kierownicy nie powinni świecić powierzonej ich pieczy młodzieży złym przykładem.

Innego widocznie zdania są nasi nauczyciele szkół dokształcających, którzy w ubiegłym tygodniu ogłosili bezrobocie z powodu niewypłacenia im dotąd poborów za ubiegły miesiąc, płatnych z dołu. Upominanie się o to, co się komu słusznie należy, jest najzupełniej usprawiedliwione, nie możemy jednak pochwalić właśnie tego wypadku, o którym wyżej mowa, już choćby tylko dlatego, że w grę tutaj wchodzi także i młodzież, mająca brać przykład ze swych kierowników. A jakże się tu potem dziwić, że prawie co miesiąc mamy jakieś bezrobocie, że raz strajkują szewcy, to znów krawcy, skoro tego nauczono ich w szkole dokształcającej, do której przed uzyskaniem stopnia czeladnika musieli z obowiązku uczęszczać. Dodać należy, że naszemu nauczycielstwu szkół powszechnych i wydziałowych, z którego rekrutują się właśnie nauczyciele kursów dokształcających, w obecnych warunkach bynajmniej źle się nie wiedzie, dla żadnego z nich zaś pobory, jakie otrzymują za naukę wieczorną, nie są jedynem źródłem utrzymania, kilka zatem, a choćby nawet kilkanaście dni zwłoki w ich wypłacie, spowodowanej brakiem gotówki w Kasie miejskiej, powinny były być przez nauczycielstwo wyrozumialej traktowane. Magistrat, zgodziwszy się na warunki, przez nauczycieli postawione, dopełni ich niezawodnie, ale może się bardzo łatwo zdarzyć, zwłaszcza tak dziurawej beczce, jaką jest Kasa miejska, że chwilowo braknie gotówki. Na tem najbardziej cierpi młodzież, cóż bowiem warta nauka, rozpoczęta dopiero w styczniu, a już w początkach lutego przerwana.

Być może, choć nie chcemy w to wierzyć, sfery miejskie rządzące, mając głowę nabitą interesami gminnymi i własnymi, zbyt mało poświęcają uwagi i nie przypisują właściwej wartości nauce, można jednak było wpłynąć na nie w inny, mniej drastyczny sposób, a przytem także uwzględnić chwilową niewypłacalność, która chyba regułą się nie stanie. Biorąc pod uwagę uposażenie służbowe profesora Uniwersytetu i porównując je z poborami nauczyciela szkół powszechnych, zajętego nadto dodatkowo nauką dokształcającą, nie mówiąc już o lekcyach prywatnych, dojść musimy do przekonania, że ten pierwszy w obecnych warunkach ma się daleko gorzej od tego drugiego, a przecież tak głośno i żałośnie na swą dolę nie narzeka.

Co tam zresztą dużo mówić i zastanawiać się nad tem, skoro musimy przyznać, że każdy z nas, który kończył jakie szkoły, a potem poświęcił się pracy umysłowej, palnął kolosalne głupstwo i dziś śmieje się z niego jego kolega z ławy szkolnej, który skutkiem nieporozumienia z łaciną, już w pierwszej klasie opuścił mury gimnazyalne. Dziś jest rzeźnikiem lub piekarzem, bodajby krawcem lub szewcem, niechby zresztą sprzedawał zagraniczne korzenie lub igły i nici, w każdym razie ma powód do śmiania się z doli swego uczonego kolegi, świecącego narodowi dziurawymi łokciami i wytartemi kolanami. Niejeden z nas, gdyby się był spodziewał tak miłych skutków wojny światowej, byłby się z pewnością poświęcił praktycznemu zawodowi i jakoś przebolał te cztery lata praktyki, kiedy to, niczem miecz Damoklesa, wisiał nad nim pociegiel pana majstra. Dziś byłby panem całą gębą, nadawałby ton społeczeństwu, na premierach siadywałby w lożach pierwszego piętra wraz z małżonką, przypominającą ruchomą wystawę jubilerską, a tak łyka ślinkę na wspomnienie różnych dawno niewidzianych przysmaków i chucha w zmarznięte dłonie, choć siedzi koło pieca (w którym się nie pali). Mógłby sobie pozwolić raz i drugi na wędrówkę na bal publiczny i żyć nadzieją, że jego małżonka otrzyma w głosowaniu pierwszą nagrodę za najwspanialszy kostyum. W tych warunkach, w jakich się znajduje umysłowy pracownik, o pójściu na bal publiczny, choćby się nawet dostało i bilet wstępu gratis, ani myśleć, a żona takiego nowoczesnego sankilota mogłaby stanąć do konkursu co najwyżej w takim wypadku, o ile się rozchodzi o najskromniejszą i najmniej wydatków wymagającą tualetę.

To są reminiscencye karnawałowe, które wybić sobie należy z głowy, choć zbliża się dzień imienin Świętego Józefa, a z nim i zapowiedziana zabawa tańcująca uginających się od nędzy urzędników magistrackich, oczywiście niezawodnie także z jakimś konkursem piękności lub tualet, bo to teraz w modzie. Jedni chcą ogłosić konkurs majątkowy, drudzy stają do konkursów.

Inteligenta, pracującego umysłowo, bardziej zajmuje myśl, czem w piecu zapalić, skoro zima ma się podobno dopiero zacząć. Słusznie zauważa jedno z pism humorystycznych, że Francuzi dlatego tak energicznie zabrali się do zmuszenia Niemców, aby uiścili się ze swych reparacyi węglowych, iż przeczuwają długie jeszcze trwanie zimy. Tego samego zdania jest i każdy z posiadaczy pieca, w którym się nie pali, ale niestety musi się ograniczyć jedynie do odczytywania komunikatów domowych o nowej podwyżce cen węgla, wprawdzie nie tak częstej, jak nowe cenniki pieczywa i mięsa, ale w każdym razie nie zapominających o nas. Od 1 go marca podwyższoną zostanie taryfa kolejowa, miejmy zatem nadzieję, że w następstwie podrożeją i węgle, które dziś kupuje się już nie na cetnary, jak to bywało przed wojną, ale na karaty. Uczy nas to wprawdzie oszczędności, choć kto bowiem zdobędzie się na pewną ilość węgli, nie pali nimi w piecu, bo mu ich żal, że takie drogie, ale to go nie grzeje.

Miejska komisya cennikowa, mająca za zadanie potwierdzanie cenników na artykuły pierwszej potrzeby, w najbliższym już czasie rozpocznie urzędować w permanencyi, zaledwie bowiem zamkną się drzwi za rzeźnikami, już pukają do nich piekarze, a węglarze są na schodach. Samo podpisywanie cenników wymaga tyle atramentu, że gmina miasta Krakowa nosi się z myślą założenia fabryki, oczywiście we własnym zarządzie i ma już przygotowanych jej kierowników. Inne artykuły, na które nie potrzeba cennika, drożeją kilka razy dziennie, taki naprzykład drobiazg, jak zwykłe guziki, doszedł takiej ceny, że na tak popularną grę nie może sobie pozwolić, chyba wielomilionowy paskarz.

A tu święta Wielkanocne się zbliżają, ani się obejrzysz, jak żona słodko zapyta pewnego dnia:

– A co będzie tego roku ze święconem?...

Jeśli jesteś paskarzem, uśmiechniesz się na to i, nic nie odpowiadając, rzucisz na stół kilka milionów, jeśli jednak obcym ci jest pasek, nie odpowiesz także, wyjmiesz z kieszeni rękę i pokażesz... figę. Gdy w lutym zwykła kiełbasa dochodzi już dwunastu tysięcy marek za kilogram, cóż będzie dopiero o tym czasie w marcu, gdy przygotowania przedświąteczne powinny być w pełnym toku.

Powiadają wprawdzie, że wszystko się momentalnie poprawi, niech nam tylko pan Grabski zaprowadzi zapowiedzianą walutę złotą, ponieważ ona jednak będzie złotą jedynie na papierze, należy się obawiać, że może stać się łatwo czemś bardzo podobnem do owych przysłowiowych złotych gruszek na wierzbie. Wartość nowej monety ma być wprawdzie regulowaną według cen najważniejszych artykułów, niezbędnych do życia, a zestawianiem ich ma się zająć centralny urząd statystyczny w Warszawie, na którego pochwałę powiedzieć trzeba, że prochu nie wynalazł, jeśli się zaś często myli, to nie jego wina, gdyż funkcyonaryusze jego mają tylko po dwie nogi, a wiadomo, że nawet stworzenie, czterema rozporządzające, czasem się potknie, a nawet przewróci. Dzięki tym obliczeniom co pewien okres czasu, nikt właściwie nigdy nie będzie wiedział, jaki posiada majątek, skoro złoty polski tak będzie musiał tańczyć, jak mu zagrają paskarze, a statystycy uchwycą to na papier.

Ale nie traćmy nadziei, która jest matką rodzaju ludzkiego i mimo przeciwności nie upadajmy na duchu.



„Janosik“ w Teatrze im. Słowackiego: P. A. Szymański „Janosik“. Fot art. A. Kuczyński, Kraków.

Dzień Kopernika w Toruniu.

Toruń, miasto rodzinne Kopernika uczciło 450 rocznicę jego urodzin niezmiernie uroczyście. Obchód rozpoczął się o godz. 10 rano pontyfikalną mszą św., celebrowaną przez ks. biskupa sufragana d-ra Klundera w staromiejskim kościele parafialnym św. Jana. W prezbiteryum zajęli miejsca pp.: Wiceminister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, Łopuszański. reprezentujący Prezydenta Rzeczypospolitej, wojewoda pomorski, Brejski, radca legacyjny Czechosłowacyi, Czerny, Prezes dyrekcyi kolejowej w Gdańsku, Czarnowski, Stefan Grabski, członek rady portowej w Gdańsku, profesorowie delegaci Uniwersytetów: Banachiewicz (Kraków), Birkenmayer (Akademia Umiejętności), Ernst (Lwów), ks. poseł Wójcicki (Lublin), Dziewulski (Wilno), Zalewski i Krygowski (Poznań), dr. Bross (Tow. Nauk. Pozn.), Dmochowski (W. Szk. Handl. w Warszawie), Karmieński, Witkowski, Dickstein, prof. Uniwersytetu (Warszawa), astronomowie dr. Kępiński i dr. Gadomski, prezes koła polskiego Senatu Gdańskiego dr. Panecki, prezydent miasta Torunia Michałek, inspektor armii jenerał Skierski, dowódca O. K. VIII. jen. De Latour, szef francuskiej misyi wojskowej pułk. Blot, prezes sądu apelacyjnego Szuman i inni. Stalle nawy głównej zajmowały cechy ze sztandarami, towarzystwa, organizacye i szkoły.

Po mszy św. wygłosił podniosłe kazanie ks. arcybiskup Teodorowicz.

Po nabożeństwie pochód ruszył ulicami miasta ku ulicy Kopernika, gdzie nastąpiło uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu rodzinnym Kopernika, poczem pochód skierował się ku pomnikowi Kopernika na rynek staromiejski, gdzie nastąpiło złożenie hołdu i czci pamięci wielkiego obywatela Polski.

Ze stopni pomnika przemówił pierwszy prezydent miasta Michałek, komendant szkoły morskiej w Tczewie komandor Garnuszewski, jenerał Skierski, prof. Kamieński, dr. Kazimierz Bross i inni.

O godzinie 1-szej po południu odbyła się w auli szkoły wydziałowej uroczysta akademia, którą zagaił ks. proboszcz Makowski, członek Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Nawiązując do idei i myśli wielkiego Torunianina, skreślił on historyę rozwoju toruńskiego Towarzystwa Naukowego. Następnie składali kolejno adresy hołdownicze przedstawiciele szkół i ciał naukowych z całej Polski.

Radca legacyjny Czechosłowacyi p. Czerny, między innemi powiedział:

„Niech będzie dozwolone też Czechowi, który już przeszło 30 lat pracuje nad zbliżeniem kulturalnem czesko-polskiem, wypowiedzieć kilka słów w dzień wielkiego narodowego święta polskiego, które jest zarówno świętem kulturalnem całego świata, a przedewszystkiem narodów słowiańskich spokrewnionych z narodem polskim. W dzień urodzin i w mieście urodzenia Mikołaja Kopernika składam hołd geniuszowi Wielkiego Polaka, którego nazwisko jaśnieje wśród najprzedniejszych umysłów całej ludzkości. Składam hołd jednemu z tych geniuszów polskich, których nazwiska były milczącym, lecz zarówno głośnym protestem przeciwko stuletniej niewoli narodu polskiego“.

Następnie profesor Ludwik Birkenmayer wygłosił odczyt o Koperniku, jako o obywatelu i patryocie.

O godzinie 4-tej po południu odbyło się staraniem miasta śniadanie na cześć przybyłych do Torunia gości. O godzinie 7. wieczorem dokonano uroczystego otwarcia Książnicy im. Kopernika. O godz. 8-ej wieczorem odbyło się galowe przedstawienie w teatrze narodowym. Odegrano sztukę Planeckiego pod tyt.: „Mikołaj Kopernik“. Po przedstawieniu odbył się raut w salach dworu Artusa.

„Janosik“ w Teatrze im. Słowackiego.

Teatr miejski im. Słowackiego wystawił w ub. tygodniu z całym przepychem aparatu wielkiej sceny, a dawno niewidzianej u nas oprawy z takim smakiem artystycznym — dramatyczną baśń jen.



„Janosik“ w Teatrze im. Słowackiego: P. Ada Kosmowska jako „Pani zamku“. Fot. art. A. Kuczyński, Kraków.

Andrzeja Galicy o bohaterze tatrzańskiej legendy harnasiu — Janosiku.

Znaną legendę ujął autor z nowej, odmiennej strony, czyniąc z Janosika bojownika o wolność ludu podhalańskiego, ciemiężonego ongiś przez panów uterskich — i przydał mu w ten sposób bohaterskiej aureoli, a baśni podnioślejszych walorów tragicznych. Wartki, oryginalny wiersz oraz interesująca, wciąż żywa akcya, trzyma widza ustawicznie w poważnem zainteresowaniu, które kulminuje głębsze wzruszenie wywołane pięknym i naprawdę poetycznym finałem sztuki. Jest nim pogrzeb Janosika; zwłoki jego niosą towarzysze i lud „na scity Tatr, by stamtąd panował im jego bohaterski duch-mściciel krzywd, sprawionych maluczkim.



„Janosik“ w Teatrze im. Słowackiego: Pna St. Mazarekówna (Sawa) i A. Szymański (Janosik). Scena z I. aktu. Fot. art. A. Kuczyński, Kraków.

Dyr. Trzciński wespół z p. Pronaszką oprawili ten poemat iście po królewsku. Koncepcya inscenizacyi dyr. Trzcińskiego uczyniła z epickiego miejscami utworu, tętniący życiem dramat, o akcyi ruchliwej, wciąż podnoszącej zainteresowanie; zaś p. Pronaszko wystawą aktów I. IV. ukazał całą poezyę Tatr, w kostyumach zaś i dekoracyi aktu



„Janosik“ w Teatrze im. Słowackiego: Janosik z podharnasiami. Od lewej ku prawej pp. Brandt, Białoszczyński, Szymański, Burnatowicz i Dobiesław. Fot. art. A. Kuczyński, Kraków.

II. i III. przepychem barw i pomysłowością walczył o lepsze ze świetną grą artystów z pp. Stanisławą Mazarekówną, Adą Kosmowską, Szymańskim i Kułakowskim na czele. Dawno w Krakowie nie widzieliśmy tak wspaniałego widowiska teatralnego, a repertuarowi tzw. żelaznemu, tj. obliczonemu na szerszą popularność przybyło niewątpliwie w „Janosiku" dzieło naprawdę wartościowe.

W niniejszym numerze podajemy kilka zdjęć z tej atrakcyjnej premiery.



Zajęcie Władywostoku przez bolszewików: Wkroczenie do Władywostoku oddziału czerwonej gwardyi, poprzedzonego transparentem z napisem: „Rewolucyjna armia ludowa niesie wam pokój, spokój i porządek".

Zgon wybitnego artysty.



Zgon wybitnego artysty: Śp. Stanisław Pichor, utalentowany skrzypek i artysta malarz.

Z grona osobistości pracujących rzetelnie nad rozwojem kultury artystycznej podwawelskiego grodu i Polski całej, ubyła w zeszłym tygodniu osobistość ceniona wysoko zarówno w kołach muzycznych Krakowa, jak niemniej malarskich.

S. p. Stanisław Pichor pracował dzielnie z pożytkiem i sławą w obu tych dziedzinach, ceniony jako wyborny skrzypek i pedagog w kołach muzycznych, jak też jako doskonały portrecista i malarz rodzajowy. Dziecię Krakowa (ur. 1875) ukończył Akademię krakowską pod kierunkiem Malczewskiego, Mehofera i Wyczółkowskiego, zaś jednocześnie prawie studiował grę skrzypcową i muzykę w Konserwatoryum warszawskiem. Zdobywszy arkana sztuki komponowania, oddał się z zapałem twórczości, nie zaniedbując palety dla skrzypiec. Zwróciwszy na siebie uwagę zarządu Instytutu muzycznego został przed kilkunastu laty uproszony do prowadzenia klasy gry skrzypcowej, na którym to posterunku, z przerwą dwuletnią w ciągu której był profesorem Szkoły muzycznej w Brodach, pozostawał do końca życia. Poza kilku pięknemi kompozycyami, wydanemi przez nakładców krakowskich, pozostawił wiele utworów w tece pośmiertnej. Cechuje je pogoda, doskonałe ujęcie formy i nienarzucające się harmonie. W kołach muzycznych ceniony był wysoko dla smaku i dystynkcyi gry szczególnie zespołowej jako wyborny altowiolista. Poza występami w zespołach z wyjątkowem zamiłowaniem uprawiał wykonywanie sonat.

Z dzieł malarskich, któremi artysta zasilał wystawy krakowskie, znane są portrety, (portret własny, Biegasa, Umlaufowej i t. d.), oraz świetne studyum rodzajowe, za które zdobył medale srebrne i brązowe. Świetną była w swoim czasie namalowana kollekcya portretów najwybitniejszych muzyków krakowskich z dyr. ś. p. Żeleńskim na czele. W życiu codziennem skromny, życzliwie odnoszący się do ludzi był lubiany i ceniony dla swych wysokich zalet towarzyskich.

Zajęcie Władywostoku przez bolszewików.

Ostatnia placówka „białej Rosyi", opierająca się dzielnie atakom czerwonej armii na Dalekim Wschodzie, Władywostok, dostała się w ręce bolszewików. Rząd republiki sowieckiej Dalekiego Wschodu, mający siedzibę swą w Czycie, oddawna już dokładał wszelkich starań, aby stać się panem tego miasta, otwierającego mu drogę do Oceanu Spokojnego. Jak długo Japończycy utrzymywali swą załogę w Władywostoku, bolszewicy, nie dowierzając swym siłom, nie rwali się zbyt rączo do kroków wojennych, z chwilą jednak, gdy opuścili ląd stały azyatycki, losy Władywostoku, stanowiącego klucz do centrum Syberyi, były już przesądzone. Mimo to załoga, złożona zaledwie z 1500 ludzi, przeważnie oficerów i żołnierzy byłej armii carskiej, pod dowództwem jenerała Ditricza dłuższy czas stawiała mężny opór, paraliżując skutecznie zabiegi czerwonej armii o zdobycie miasta.

Ale wszystko musi mieć swój koniec, nawet i najszlachetniejszy wysiłek, jeśli jest beznadziejny, pójdzie na marne.

W ostatnich chwilach miała ludność Władywostoku do zwalczenia trudności, które dalszy opór czyniły bezskutecznym. Brakowało wszystkiego, dokuczał głód, a przedewszystkiem każdą chwilę zatruwała myśl, że prędzej czy później dopną bolszewicy swego celu, im później zaś się to stanie, tem gorzej dla miasta i jego mieszkańców. Nie brakło również i sympatyków nowych prądów, zapewniających zgnębioną ludność, jaki raj zapanuje w mieście po połączeniu się z bolszewikami i dziś jest już faktem dokonanym, że mężni obrońcy Władywostoku, widząc bezcelowość swych wysiłków, opuścili miasto, szukając schronienia w Mandżuryi, a armia czerwona zajęła je bez rozlewu krwi.

Bolszewicy, pozostający pod dowództwem niejakiego Oborewicza, jak zapewniają, z pochodzenia polskiego żyda, położywszy na Władywostoku swą krwiożerczą łapę, powtórzyli słowo w słowo to samo, co o sobie zawsze powiadają, że niosą wolność, spokój i porządek, nie obeszło się też bez niezbędnych przy każdej sposobności w Rosyi okrzyków „hura!..." i powitania „zbawców" chlebem i solą, co jednak nie świadczy bynajmniej o tem, jakoby ludność nieszczęśliwego miasta zbyt cieszyła się z losu, jaki ją spotkał.

Tajemnice grobu Faraona.

Odkrycie w Egipcie grobu Faraona Tutankhamona, o czem pisaliśmy już kilkakrotnie, i prowadzone tam poszukiwania budzą coraz większe zainteresowanie nie tylko w kołach archeologów, ale w całym świecie cywilizowanym. Według ostatnich wiadomości z Luksor wydobyto znowu kilka nadzwyczaj ciekawych rzeczy z grobowca Tutankhamona. Bardzo interesujące są dwie stosunkowo nieduże figury, rzeźbione z drzewa hehanowego, tak zwane „Szwabti", które zmarłemu Faraonowi miały na drugim świecie służyć jako niewolnicy i wykonywać za niego roboty, na jakieby przez sąd pośmiertny został skazany. Dwie





Zajęcie Władywostoku przez bolszewików:

Przyjęcie komendanta naczelnego armii czerwonej, Oborowicza, przez dowódcę pierwszego pułku, który wtargnął do miasta.

Burmistrz miasta przyjmuje najeźdźców chlebem i solą.

rzeczy uderzają w tych figurach: najpierw nadzwyczaj patetyczny wyraz ich postaci i twarzy, robiących wrażenie jak gdyby błagały sędziów pośmiertnych o litość dla swego pana, następnie zaś sposób wykonania roboty snycerskiej, który na pierwszy rzut oka pozwala skonstatować, że rzeźby wykonali artyści z Tel-el-Amarny. Wiadomo, że Tutankhamon, zanim został Faraonem, panował pod nazwą Tutankhatona w Tel-el-Amarna, co wyjaśnia tą wspólność artystycznego wykonania rzeźb. Szkoła rzeźbiarska w Tel-el-Amarna była zwolenniczką boga Hathora, Tutankhaton zaś po osiągnięciu godności faraońskiej przeszedł do zwolenników boga Amona i uznał jako Tutankhamon wiarę w Hathora jako herezyę.

Z grobowca wydobyto nadto złotem obite koło rydwanu wojennego i zaprzęgi końskie, srebrny



Tajemnice grobu Faraona: Wydobywanie cennych zabytków z grobowca Tutankhamona.

posąg boga Hathora, dwie okrągłe poduszki, wazę alabastrową, krzesło z hebanu wykładane kością słoniową, dużo kawałków lnianych pochodzących prawdopodobnie ze zniszczonego odzienia, następnie kawałki drzewa i metali zdjęte z rydwanów i tronów. Duże zainteresowanie wywołała komoda z hebanu wykładana złotem. Pełno na niej głów mężów, emblematów życia pozagrobowego i obrazów z życia Tutankhamona. Jest on przedstawiony jako myśliwy na koniu na czele swego orszaku, to znowu na rydwanie lub na słoniu z napiętym łukiem, a przed nim antylopy i lwy ze strzałami w ciele. Rogi ozdobione są hieroglifami, które sławią Tutankhamona jako władcę dolnego i górnego Egiptu, źródło życia, zdrowia i siły. W blasku słonecznym podczas wynoszenia tej komody, można było widzieć, jak najdrobniejsze szczegóły tych wizerunków były znakomicie wykonane.

Przeciw wywożeniu tych skarbów przez Anglików rozlegają się coraz głośniejsze protesty, biskup angielski z Chelmsford protestuje na łamach „Times" przeciw zamierzonemu zabraniu z grobowca zwłok Tutankhamona — naturalnie jeżeli one zostaną znalezione.

Coby naprzykład powiedziano, pisze biskup, gdyby wiedziano, że w roku 5923 jacyś obcy ludzie wtargną do grobowca królowej Wiktoryi, aby z niego wszystko zabrać nawet jej zwłoki i wystawić je na widok publiczny. Zapytuje on, czy sprawa ze zwłokami nie jest równie potępienia godna, jak wymieniony przykład. Uznaje on dużą wartość badań zabytków i papyrusów w grobowcu, ale głównie nadzieja zobaczenia zwłok Faraona przywabia tysiące turystów na miejsce odkrycia.

Tę ciekawość przyszłych pokoleń jakby przeczuwali starożytni Egipcyanie i na ścianie grobowca wyryli następujące przekleństwo:

„Oby uwiędła ta ręka, która podniesie się przeciw memu ciału i oby wszystko uległo zniszczeniu i rozpadło się w proch, co się odważy zakłócić moje życie pośmiertne, albo naruszy mój obraz, albo też obraz mego sobowtóra, albo miejsce, gdzie ja się znajduję. Oby królewski ureusz wypluł płomienie na ich głowy i aby ich głowy spadły tam, gdzie teraz są ich nogi. Niechaj utracą swe imię, swe ciało, swego sobowtóra, swoje Ka, swego Bal i swego Kheu. Niechaj spłoną na stosie ognistym mego ojca Amona. Takie jest moje przekleństwo i taką będzie moja zemsta, — a trwać ona będzie po wszystkie wieki!"

Straszne to przekleństwo nie powstrzymuje jednak turystów, którzy z całego świata zjeżdżają masowo, aby oglądać tajemnice grobu Faraona.

Echa karnawału.

Jednym z piękniejszych balów podczas ubiegłego karnawału był bal urzędników Magistratu we Lwowie. Odznaczał się on zwłaszcza wielką liczbą ładnych kostyumów. A i na tym punkcie Lwów uwydatnił swą odrębną od Krakowa fizyognomię. Gdy tu, w Krakowie, na żadnym z balów nie znalazłby ani na lekarstwo Krakowianki i Krakowiaka, a dominowały przeważnie bajadery, odaliski i t. p., na balu lwowskich urzędników magistrackich królowały także urocze dziewoje w strojach krakowskich. Nie brakło również pań i panów w stylowych strojach francuskich. Jedna z naszych fotografii przedstawia właśnie grupę, na której widzimy figurki, jakby zdjęte z obrazów Bacciarelego.



Echa karnawału: Bal urzędników Magistratu we Lwowie (grupa uczestników zabawy w stylowych strojach francuskich). Fot. M. Münz, Lwów.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Echa karnawału: Grupa „krakowska" na balu urzędników Magistratu we Lwowie. Fot. M. Münz, Lwów.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Zgłoskówka: Zatarg grecko-turecki.

Trójkąt magiczny: Lozanna, Onufry, Zemuń, Amor, nów, ni, a.

Dobre rozwiązania nadesłali: M. Planecka Kraków, W. Zawadzki Lwów, A. Michalik Zakopane, W. Ossowski Warszawa, S. Rosenbaum Rzeszów, M. Kubicówna Kraków, H. Krawecka Nowy Sącz, Z. Barylski Stanisławów, W. Zagórska Tarnopol, B. Schmidt Kraków, S. Kisielewski Płock, T. Turczyk Nowy Targ, T. Woźnicka Poznań, F. Popiołek Warszawa, A. Kmietowicz Grodno, L. Wiewiórowski Radomyśl, J. Ciszewski Wadowice, B. Lewicki Przemyśl, J. Biernat Radom, W. Gierulski Kielce, B. Szypulska Wieliczka, T. Walter Sanok, R. Wirski Wilno, Z. Łopaciński Kraków, H. Rakowiecka Warszawa, A. Pieniążek Cieszyn, G. Heller Lwów, R. Bukała Zielona, M. Stolarski Żywiec, I. Sarnowski Brody, A. Korn Przemyśl, M. Wysocki Łódź, E. Gawroński Warszawa, M. Gruber Leszno, O. Kirnalski Biała, H. Ryglicka Piotrków, F. Górka Bochnia.

Nagrodę otrzymał: R. Wirski, Wilno.

Upraszamy o nadesłanie mk. 600 na poleconą przesyłkę nagrody.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny

Ułożyła B. Szypulanka, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednego ze świąt katolickich.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■
■
■
■
■
■
■
■

Znaczenie wyrazów. 1.) Szukany wyraz, 2.) Cieśnina w Europie, 3.) Postać z mitycznych dziejów Polski, 4.) Kraj w Azyi, 5.) Grecki bajkopisarz, 6.) Ryba rzeczna, 7.) Wyrażenie na oznaczenie „były", 8.) Spółgłoska.

Grzebieniówka.

Ułożył W. Woliński, Poznań.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego uczonego, który niedawno obchodził jubileusz półwiekowej pracy.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■

Znaczenie wyrazów. 1.) Popularny niegdyś tygodnik warszawski, 2.) Ptak drapieżny, 3.) Postać biblijna, 4.) Wyżyna w Azyi, 5.) Wielki pokój, 6.) Imię męskie starosłowiańskie.

Łamigłówka.

Ułożyła L. Piątkowska, Toruń.

Z każdego wyrazu wyjąć dwie obok siebie stojące litery, a otrzymamy nazwisko polskiego uczonego, jubilata:

Zamość, prawo, wschód, rekin.

Dobroczynności publicznej

polecamy inwalidę Zygmunta Osuchowskiego, który ma sparaliżowaną rękę i cierpi przytem na epilepsyę. Obarczony rodziną a niezdolny do żadnej pracy znajduje się on wraz z dziećmi w skrajnej nędzy. Jako ofiara strasznych przeżyć wojennych zasługuje on na pomoc ze strony społeczeństwa. Administracya „Nowości Illustrowanych" chętnie będzie pośredniczyć w tej humanitarnej akcyi przyjmując składki na rzecz nieszczęśliwego inwalidy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.